OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 18 Stycznia 1865 roku.

Nr 3. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

RHUMKORFF.

W Paryżu na bulwarze Wielkiéj-Opery znajduje się maleńka salka, powszechnie zwana teatrzykiem Roberta Hudena. Przedstawienia na téj nie wielkiéj scenie zmieniają się kilka razy dziennie— i nie dziw, aktorów tu bowiem zastępuje fizyka, chemja i oparta na nich nowożytna magja. Publiczność tłumami zalega salkę Hudena i nie możemy powiedzieć, żeby bezkorzystnie; gdyż, oprócz sztuk kuglarskich, mają tam miejsce najciekawsze doświadczenia fizyczne, objaśnione krótkim, ale treściwym ustnym wykładem. Zabawa więc rozumnie jest połączona. Wostatnich czasach szczególniéj zachwycały widzów zdumiewające doświadczenia elektryczne. Pokazywano tam elektryczne światło, rodzaj małego słońca, którem oświetlano rozmaite obrazy i transparenta. Kiedyindziéj znów, wśród nawalnéj burzy, biły naturalne niemal pioruny. Ciekawem było widowisko z bębnem, którego pałki bez dotknięcia ręki ludzkiéj uderzały capstrzyk z całą gwałtownością, w takt towarzyszącéj muzyki. Otóż wszystkie te cuda, tak zajmujące i różnorodne, wykonywane są za pomocą narzędzia wynalezionego niedawno. Nazywa się ono szpólką albo cewką Rhumkorffa, od nazwiska swego wynalazcy. Niepodobna nam jest bez zagłębiania się w tajniki nauki o elektryczności, wytłumaczyć czytelnikom ten przyrząd — powiemy tylko, iż daje on możność powiększania niezmiernego skutków elektryczności wydobytéj ze stosu. Otóż narzędzie to przez świat naukowy uznanem zostało za tak dzielne, spodziewają się po niem tylu pożytków w naukach i przemyśle, iż wynalazcy jego przyznano nagrodę *sto tysięcy* złotych, wyznaczoną przez cesarza francuzów Napoleona III, jako za najznakomitszy wynalazek elektryczny. Wielki ten zaszczyt, który spotkał Rhumkorffa, obchodzi szczególniéj świat ludzi prostych, rzemieślników i robotników — gdyż wynalazca jest kością z ich kości. Ze zwykłego robotnika doszedł on pracą, wytrwałością i talentem do dzisiejszéj sławy, dając dobry przykład swoim współbraciom. Dla tego też i my krótki jego życiorys wraz z portretem zamieszczamy w naszem pismie, raz oddając hołd zasłudze, a powtóre dla zachęty do starań i trudów tych, którzy dziś sądzą, że prostemu robotnikowi zamkniętą jest droga do zaszczytów i sławy.



(Rysował Polkowski—wyciął na drzewie Regulski).

Rhumkorff urodził się w Hanowerze w Niemczech 1803 r. Po wyterminowaniu w zakładzie mechanicznym, licząc zaledwo 19 lat wieku, opuścił swoje miasto rodzinne i udał się na wędrówkę po Niemczech, w celu udoskonalenia się wswojem rzemiośle. Lecz jakiś głos wewnętrzny, który my nazwalibyśmy zamiłowaniem nauki i pracy— pędził go coraz daléj, tak, że mimo nieznajomości języka, puścił się do Francji i przybył do Paryża, który miał stać się polem jego zaszczytów. Po 2-ch latach udał się do Londynu, gdzie praktycznie zwiedzał pracownie różnych mechaników. Zimni jednak Anglicy nie skłonili jego serca; zdobywszy wiadomości sobie potrzebne, wrócił znów do Paryża, gdzie jako zdolny robotnik znalazł zatrudnienie w najznakomitszych zakładach. Lecz wszystko to nie odpowiadało marzeniom Rhumkorffa. Niedość mu było naśladować podług wskazanych wzorów innych, pragnął wystąpić z czemś własnem, samoistnie czując niemały pochop do tego. Na zawadzie jednak stał mu brak wyższéj nauki. Z oszczędzonych więc krwawo pieniędzy opłacał lekcje fizyki i w zaciszu swojéj izdeb-

ki przemyśliwał nad nowemi wynalazkami. Jakoż pierwszym owocem téj natężonéj pracy, był wystawiony w 1844 apparat *termo-elektryczny*, zupełnie zmienionéj budowy — a który posłużył p. Meloni znakomitemu uczonemu, do jego pięknych doświadczeń. Rhumkorff za ten apparat otrzymał medal srebrny, pierwszą zachętę na pracowitéj i trudnéj drodze swego zawodu. W 1849 r. wystawił znowu apparat, do doświadczeń polaryzacji przez magnetyzm wykonanych i prób diamagnetycznych, dokonanych przez p. Faraday uczonego fizyka. Znowu więc otrzymał drugi medal. W 1855 roku tryumf Rhumkorffa był zupełny; sędziowie za apparat indukcyjny przyznali mu medal pierwszéj klassy, a cesarz ozdobił go orderem legji honorowéj. Wszystkie te wynalazki, niezmiernie ważne dla nauki, są jednak tak złożone i wyższych wiadomości wymagajęce, iż niepodobna wdawać się nam w szczegółowy ich opis; pominiemy też także wynalazki w ciągu ostatnich pięciu lat dokonane, między któremi owa szpólka czyli cewka, takiego a sprawiedliwego nabrała rozgłosu, iż ściągnęła dla wynalazcy znakomitą nagrodę, i imię jego uczyniła znajomem i szanowanem po całym świecie. Mimo tak wielkiego powodzenia, Rhumkorff po dawnemu pozostał prostym, skromnym, mało rozumiejącym o swoich talentach robotnikiem, dając i w tem wzór, że z niczego pysznić i wynosić się nie należy samemu — ale dobre nasze przymioty niech inni ocenią i oszacują według wartości.

NIEDZIELA.

(LEGENDA).

Znałem jedną panieneczkę
Co zgrzeszyła wiele;
Bo raz sobie sukieneczkę
Skroiła w *niedzielę*,
Żeby w poniedziałek rano
Siąść szyć — bo we wtorek
Do sąsiedztwa ją wzywano,
Na skoczny wieczorek.

Aż we wtorek — w rannéj porze
Gdy skończyła suknię;
Zaszumiało coś na dworze
I ktoś w drzwi zastuknie . . . . .
Więc otwiera — jak się godzi;
Lecz zadrżała biedna!
Siedm zarazem panien wchodzi,
Wszystkie, jakby jedna.

Jasne włosy, jasne lica,
Oczy jak bławatki!
Lecz idąca wprzód dziewica
Pocięta na szmatki!
Strój i ciałko pokrajane,
Srodze i bezładnie;
Jakieś cuda niesłychane
Że się nie rozpadnie!

Że to duchy, nie kobiety,
Czując po szeleście,
Pyta dziewczę „Ach! niestety!
Panny! kto jesteście?"
— „Bóg postawił nas na straży,
Siedmiu dni tygodnia,
Pilnujemy swych ołtarzy,
Po kolei co dnia.

A tyś jedną nam z siostrzyczek
Przeświętą niedzielę,
Zdradnem ostrzem twych nożyczek,
Pocięła tak śmiele!
Więc w pokucie dręcz swe ciało,
Grzech swój wyznaj głośnie,
Aż się suknia stanie całą,
I ciałko jéj zrośnie" . . . .

I zniknęły — a w około
Rozeszła się wonność;
Dziewczę czuje, chyląc czoło,
Do pokuty skłonność.
Już nie była na wieczorku,
Ale sama jedna
Post obchodząc, przy paciorku,
Łzy wciąż lała biedna!

Aż dopiero po spowiedzi
Duch się jéj ucieszył;
Gdy pozbyła grzechu śniedzi,
Ksiądz pleban rozgrzeszył.
Święćcież zawsze, moje dziatki,
Święty dzień — w kościele;
Bez potrzeby, żadnéj szmatki,
Nie krajcie w niedzielę.

Lecz gdy nędzarz albo chory,
Zwie nas w imię nieba,
Nieść ratunek wtenczas skory
I w święto potrzeba.
Wtenczas nawet i w niedzielę,
Choćby bez oddechu,
Szyć i krajać można śmiele,
Bez bojaźni grzechu.

PODRÓŻ w TATRY.

I.

W DRODZE.

Lipcowe słońce dogrzewało mocno, miasto się wyludniło z mieszkańców; ułożyłem więc sobie zrobić kilku-tygodniową wycieczkę w Tatry, i w najbliższy dzień targowy wybrałem się na Podgórze, wyszukać jedno-konną góralską furmankę. Przypadek szczęśliwy zdarzył, że, gdym mijał zamek, zobaczyłem młodego górala z dziewczyną, zagapionych na Zygmuntowską wieżę. Długie, rozczochrane włosy, kapelusik czarny z krótkim okapem (skrzydłem) ubrany w sznurek morskich, białych muszelek, krótki kożuszek bez rękawów i szeroki pas, przekonywały mnie, że góral z samego podnóża Tatrów, gdzieś od Zakopanego lub Czarnego Dunajca być musi. Dziewczyna, siostra jego (jak się późniéj dowiedziałem), była ustrojona jak na święto w żółte buty, w czerwoną spódnicę, na ramionach w ciemno-niebieską zapaskę, a ładna, rumiana twarzyczka obwiązana była chustką, z pod któréj wybiegały kosmyki jasnych włosów. W ręku trzymała paciórki i książkę do nabożeństwa.

— A zkąd wy? spytałem zbliżając się, czy nie od Zakopanego? — i spojrzałem bystro w niebieskie oczy dziewczyny.

Ona się na pół odwróciła, zasłoniła końcem zapaski i pokazując w prostodusznym uśmiechu białe zęby, odrzekła:

— Cie! a któż wam to powiedział?

— Twoje oczy....... a co zgadłem?

— Dyć tak panoczku — rzekł góral, kłaniając się.

— A co tu robicie?

— Przyjechaliśmy z żelazem, a po drodze odwiedzić brata, co jest wojakiem, ale w lazarecie leży, bo biedak zaniemógł na piersi.

— Wy pierwszy raz w Krakowie?

— Pierwszy panoczku.

— I cóż wam się tu podoba?

— Różności panoczku—tego nieopisać, cośmy tu cudownego widzieli, to złóż dwadzieścia Sączów, to jednego Krakowa nie uczynią, a co kościołów przepięknych — a i po królewskich grobach wodzili nas i cudaśmy widzieli. Ślicznie tu u was.

— To możebyście zostali w mieście na służbie?

Góral pokiwał głową i rzekł:

— Ślicznie u was, ale u nas doma choć ubogo, ale miło.

Spodobał mi się góral i jego siostra, ułożyłem się z nimi względem jazdy, i przed wieczorem wyjechaliśmy z Krakowa. Mały, tłusty konik szparko nas ciągnął na Mogielańską-Górę. Z pod kościoła otoczonego lipami raz jeszcze rzuciłem pożegnanie miastu. Za siną mgłą wieczorną widno było zamek, kilka wieżyc na tle zmierzchającego się nieba; zachodzące słońce rzucało ostatnie pęki złotych promieni na szczyty domów i świątyń—dołem błyskała Wisła. Dzwony zakołysały się na wieczorną modlitwę, góral zdjął kapelusz i po zdrowaśkach ruszyliśmy daléj.

Od Myślenic kraj coraz więcéj był nierówny, górzysty; droga prowadząca po nad Rabę to się wznosiła, to opadała na dół; nad rzeką ciągnęły się lasy, z za lasów wypłynął księżyc i srebrnem, magicznem światłem oblał okolicę. Przy tem oświetleniu, wody Raby wydawały się jak wielkie zwierciadła położone jedne na drugich, a w zwierciadłach przeglądał się księżyc, błękitne niebo i ciemne lasy, a nad tem wszystkiem sina mgła jak lekka muślinowa zasłona, za którą widne były wierzchołki porębskiego lasu. Mijaliśmy kościołek w Peimin; na białéj jego ścianie cień drzewa się kołysał, a Tereska przeżegnała się i przytuliła się do brata, szepcząc mu coś do ucha i pokazując w stronę kościoła.

— Czego się boisz?—spytałem.

— Tam się coś rusza......

— To cień od drzewa był tylko.

Wstrząsnęła głową z niedowierzaniem i rzekła:

— To był duch panoczku—szedł na pokutę do kościoła—już mu czas, bo kury po wsiach na północek pieją.

— Albo to nie wiecie o pokutujących duchach—odrzekł góral; tu ich pełno, bo widzicie tu dawniéj były wszędzie lasy, a w lasach zbójniki, ale najwięcéj ich było w porębskim lesie. Było ich dwunastu, a dowodził im Janek, śmiałek wielki. Mieli się dobrze i okrutne skarby znosili do lasu i chowali w spruchniałym dębie. Ale nieszczęście chciało, że Jankowi wpadła w oko Hanka, z za Raby wietrznica i pusta dziewczyna. Janko przy niéj zgnuśniał, zmizerniał i o lesie i o towarzyszach zapomniał, jeno wciąż przy niéj siedział i złoto sypał jéj na podołek i korale wieszał na szyi, a prosił by go kochała. Więc towarzysze jego szemrać poczęli i posłali do niego jednego, że go nie będą słuchać, jeśli mu milsza zapaska niż ciupaga. Zerwał się Janek, ucałował czarne oczy Hanki i wrócił do lasu i spytał się czegóż chcecie?—A oni mu rzekli: Prowadź nas na starostę—starosta ma dorodną córę za mąż wydać, trzeba się nam uwinąć, by pan młody pierwéj nie dobrał się do starościńskiego skarbu. Janek przystał na to; ale ponieważ dwór starosty był warowny i napad był niebezpieczny, kazał wszystkim przysięgnąć: że, gdyby ich rozproszono, to żaden skarbu w dębie nie ruszy, aż do roku i sześciu niedziel, a wtedy, który żyw zostanie, wróci i skarbem się z drugiemi podzieli. Poszli nocą, ale starostę ktoś uprzedził, więc ich godnie przyjął; bo gdy się wkradli do ogrodu, starosta ich ludźmi otoczył i wyłapał, a jeden Janek uciekł. Wrócił do Hanki, ale, że worek miał pusty, więc wietrznica odwróciła się od niego. Próżno prosił, próżno lamentował—dziewczyna była dla niego zimniejszą od wody, twardszą od skały—i groziła mu, że jak jéj nie da pieniędzy na nowe stroje—to pójdzie za bogatego sąsiada Stacha. Janka wzięła rozpacz, więc wziął ją za ręce i rzekł: chodź ze mną do lasu, a będziesz miała pieniądze. Szli i szli, aż przyszli nad Rabę w ono miejsce, gdzie głębia zielona, a nad zieloną głębią kładka. Janek był ponury, strasznie mu to markotno było, że dla dziewki słowo złamać musi; więc przystanął na kładce, obrócił się do Hanki i rzekł:

— Jam cię zwiódł — w lesie nie ma żadnych pieniędzy.

Hanka w lament i groźby, że pójdzie za sąsiada, Janek poczerwieniał, chwycił za obie ręce i rzekł:

— Pójdziesz za wodę.

I zepchnął ją w rzekę—i odtąd nad Rabą straszno w nocy, bo topielica Hanka do złego kusi i tumani po wodzie.

— A cóż się z Jankiem stało?—spytałem rozciekawiony powieścią, któréj urok tajemniczość nocy potęgowała.

— Janek panie poszedł na węgierską stronę służyć—po roku wrócił do dęba, ale oprócz niego nikt więcéj nie stanął, więc znowu odszedł i skarbu nie ruszył. Chodził długo po Węgrach, aż się podstarzał i wziął kij dziadowski w ręce. Wtedy spotkał raz na drodze biednego górala cieślę, który mu dał ostatni kawałek chleba. Janek za to odkrył mu tajemnicę o skarbie i kazał wracać do gór. Wrócił on cieśla, poszedł w lasy szukać dęba, ale znalazł tylko trochę popiołu, bo piorun spalił skarby i drzewo.

Skończył góral, zaciął konika, który podczas opowiadania zwolnił biegu, i począł gwizdać—siostra przytuliła się do niego cała drżąca i trwożnemi i niespokojnemi oczyma rzucała na około.

To co na początku wspomniałem o przywiązaniu do gór rodzinnych nie jest wymarzonym sentymentem; góral kocha swoje góry, choć prawie nigdy przed sobą nie zdawał sprawy z téj miłości i o niéj nie wie, dla tego też górali z jądra Tatrów rzadko ujrzy na dolinach. Górale, których u nas widzimy schodzących na kośbę, na ciesielkę i z drewnianemi wyrobami, to nie właściwi górale; i Podhalanie się do nich nie przyznają, zowiąc ich równo z innymi mieszkańcami dolin *Lachami*.

Przy takiem przywiązaniu do miejsc rodzinnych, a braku u nich utrzymania i zarobku, wielu do zbójeckiego rzemiosła się rzucało z upodobaniem, mimo surowych sądów w Sączu i na Węgrach. W nowszych czasach coraz więcéj niknęli—raz z powodu tego, że huty na Podhalu, furmanki, sprzedaż serów, dają ludziom możność skromnego utrzymania się—a powtóre, że zaprowadzenie urzędów, wyniszczenie wielu lasów, uniemożebniło długie ukrywanie się rozbójników; przechowali się więc tylko w tradycji

ludu. Mimo to i teraz można się nieraz wśród gór spotkać z ponurą twarzą opryszka dobrze uzbrojonego, co się i mnie zdarzyło podczas méj wycieczki, którą tu opisuję, a było to w roku 1859; o czem we właściwem miejscu nadmienię, a teraz wracam do Tereski, Jędrka i do mojéj podróży.

W chwili kiedy się Tatry odsłaniały przedemną, biała mgła wiła się po bokach gór, wierzchy złociły się draśnięte wschodzącem słońcem, na niebie bladły gwiazdy, a u podnóża gór kryły się resztki cieni.

Przed nami na pierwszym planie rozciągała się Nowotargska równina. Biały i Czarny Dunajec jak



Zobaczyłem młodego górala z dziewczyną,—(str. 18, szp. 2).



...Z pod kościoła otoczonego lipami rzuciłem pożegnanie miastu,—(s. 19, s. 1).
(Rysował Gerson—wycięła pani G.)

Jechaliśmy noc całą z małemi przestankami, w których konia napoić i napaść potrzeba było. Znużenie skleiło mi powieki, otuliłem się burką, bo chłodny wiatr przeciągał i usnąłem budząc się za każdem silniejszem stuknięciem wozu. Ranny chłód mnie przebudził — byłem na wysokości góry Obidowy, zkąd pierwszy raz Tatry miałem zobaczyć.

Trudno mieszkańcom dolin i równin dać wyobrażenie o górach, przelać w nich z całą wiernością wrażenie, jakiego człowiek wtedy doznaje. Wielu z czytelników zapewne nie widziało większych gór, ale widzieliście nieraz na niebie na zachodzie sine chmury, z któremi igrające promienie zachodzącego słońca tworzą złudne obrazy. Podnieście to złudzenie do rzeczywistości, dajcie sinym obłokom twardość granitów, podnieście je do ogromu, rozdzielcie cieniem na tysiące załomów, przepaści—to wszystko u spodu świerkowemi ubierzcie lasami, a będziecie mieli choć jakie takie wyobrażenie o górach.



...Zkąd pierwszy raz Tatry miałem zobaczyć,—(str. 20, szp. 1).
(Rysował Kozarski—wyciął na drzewie Walter).

wstęgi rzucone wiły się po niéj i wiązały ze sobą za miastem. Nad równiną wysterczała biała wieża parafialnego kościoła, a po lewéj stronie drogi, drewniana kapliczka św. Anny i cmentarz.

Tereska przebudziła się z krótkiego snu, wyskoczyła z wozu, przemyła oczy w strumyku, co nam kilka razy w licznych zakrętach zastępował drogę, przeżegnała się i siadłszy znów na wóz poczęła śpiewać czystym, dźwięcznym i donośnym głosem: Gwiazdo morza.” Brat zdjął kapelusz i począł pół głosem jéj pomagać, a mnie dziwnie pięknym wydawał się ten dzień, który się zaczynał modlitwą dziewczyny i śpiewem ptaków na przydrożnych drzewach.

Górale są bardzo religijni. Po drogach, co chwila napotkasz, to Mękę Pańską okręconą szmatami, to figurę Matki Boskiéj, ubraną w kolorową sukienkę i koronki, to świętego Jana-Nepomucena z wieńcem świeżych kwiatów na głowie. Kościoły w każde święto i niedziele przepełnione ludem, który z odległejszych wsi wybiera się na cały dzień do kościoła.

I w chatach pełno obrazów świętych i po drogach lud cię wita słowem Bożem—zgoła wszędzie spotykasz się z myślą o Bogu; a stan księży doznaje szczególnego tutaj poszanowania. Nie dość na tem; góral oszczędny aż do skąpstwa, dla swych pasterzy jest szczodry i hojny. Sam w ciemnéj, zadymionéj chacie siedzi, żywi się plackiem owsianym i ziemniakami, a w niedzielę przed sumą, niesie księdzu to sery, to masło, to cielęcinę, to barana—jemu się zdaje, że Pan Bóg te rzeczy nie dla niego stworzył—część sprzeda, część da kościołowi na ofiarę i to dla niego jedyną jest przyjemnością. Chwyta każdą sposobność, byleby mógł plebanowi zanieść jałmużnę i o przyjęcie nieśmiało prosi; napychając spiżarnię lub kiesę księdza przekonany, że sobie łaskę nieba zjednywa. Czy kto ma zmartwienie, czy się czem ucieszy, czy dwóch sąsiadów się pokłóci, czy co z bydełka przybędzie, czy się sprzeda, za wszystko niosą na ofiarę księdzu i o mszę św. proszą.



Wieś Szaflary.—(str. 21, szp. 2).
(Rysował Wojciechowski — wyciął na drzewie Gorazdowski).

Z takiego usposobienia ludu należałoby korzystać, i z wdzięcznością nieść mu pomoc w kierunku ukształcenia — dotąd jednak bardzo mało duchowni na téj drodze działali.



W r o n a.—(str. 22).
(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Stifi).

Znajdziecie wprawdzie na (Podhalu) porządne obejścia, chaty z kominami, ludzi w niedzielę modlących się z książki, ale do tego wszystkiego lud ten przyszedł więcéj własną ciekawością i pracą, wzajemnem współzawodnictwem gdyż plebanija mało na to wpływała. Brak zdrowéj nauki moralnéj, tworzy zamęt w ich wyobrażeniach religijnych i rażące wywołuje sprzeczności, prowadzi do zabobonów, przewidzeń. Nie przeczę, że sama natura rozmaita, dzika, robi umysł skłonny do zabobonów, że osamotnienie wpływa na wzbudzenie namiętności, ale księża przy swoim wpływie mogliby korzystnie działać na jedno i na drugie. Są tu i owdzie zacne wyjątki od tego, co tu powiedziałem, ale *tylko wyjątki.*

Rozmyślania moje rozegnał turkot wózka o kamienie; znajdowałem się już w rynku Nowego-Targu, zabudowanym domami rozmaitych stylów. Dwie kamienice piętrowe, kilka domów murowanych, kilka drewnianych z podcieniem—przed apteką i handlami korzennemi ławeczki zielone, na których przedniejsi obywatele odbywają swoje posiedzenia. Nie zatrzymując się tu wcale ruszyliśmy daléj. Za miastem góry widocznie powiększać się zaczynały, sine, jednolite kontury poczęły się rozpadać na mnóstwo pojedyńczych szczytów, odnóg, rozpadlin; wiatr chłodniejszy zawiał od góry, bieg Dunajca Białego, wzdłuż którego prowadzi droga, staje się bystrzejszy, woda czystsza i bardziéj spieniona. Niecałe pół mili za Nowym-Targiem jest wieś Szaflary. Jest to jedna z najmniéj wdzięcznych wiosek podhalańskich. Okolica skąpa w lasy, chaty ścieśnione i gęsto zbudowane, rzadko gdzie ocienione drzewkiem. Dwór sam w szczerem polu kawałek od lasu ponuro wygląda, zdaje się, że umyślnie uciekł od wsi, z pogardy dla brudnego ludu, a może i z obawy przed nim, bo gdy o dziedzicach zagadasz ludowi, to się schmurzy i zamruczy coś jak przekleństwo i skargę. Posiadłości Szaflarskiego dziedzica ciągną się aż do samego podnóża Tatrów; za czasów pańszczyzny całe to dziedzictwo wśród biedy i ucisku ludu, zbytki przypominało. Nad dworem wznosi się skała wapienna, na niéj coś jak kapliczka lub altanka, lub coś gorszego. Trudno poznać co założyciel chciał powiedzieć przez



Sroka.—(str. 22).—(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Szymborski).

te cztery ściany, kawałek muru i skałę ściosaną; ma to być na pamiątkę, że na tem miejscu stał niegdyś zamek Komorowskich, których obszerne dobra sprzedano przez licytacją. Skałę, na któréj stał zamek, nabywca zużytkował na wapno, a na reszcie postawił pomnik, którego pomysł wiele zaszczytu nie przynosi. Podobnie uczynił pan D. ze zamkiem Czorsztyńskim—kazał łupać starego zamku mury, by wybrać żelazne ankry, a gdy tak do połowy odrapał zamek, kazał wyciosane z drzewa i na czarno pomalowane niedźwiedzie postawić na murach, na pamiątkę, że tu niegdyś były wielkie lasy, a w nich pełno niedźwiedzi. Te czarne, drewniane niedźwiedzie, miały być wyrazem tęsknoty właściciela za owemi czasami, kiedy to tyle jeszcze drzewa budulcowego było w lasach. Tyle o poszanowaniu przeszłości i o guście panów podhalskich. Źle mi wśród nich i duszno, uciekam od nich w góry z mojemi góralami. Konik czuł blizkość domu i szparko nas ciągnął. Tereska wyjęła z zanadrza paciorki i wstążki kupione w Krakowie i bawiła się niemi.

— A na coś tyle nakupiła?

— Że dyć to gościńce dla dziewuch, a ten różaniec i ta chustka, to dla naszéj matki staruchy.

— A daleko mieszkacie od kościoła?

— Nie precz—a wy gdzie mieszkanie macie?

— Jeszcze nigdzie—możeby u was?

Dziewczyna spojrzała bacznie na brata—ten się odwrócił ku mnie i rzekł.

— A może wam to nie na rękę, że od nas tyle świata do kościoła i za wodę?

— Owszem, tem lepiéj—chciałbym tylko spokoju i wygodnego kącika.

— O jest izba porządna, wyprzątniemy ją dla was, to będzie wam dobrze.

Ucieszony tą umową uskoczył z konia, i biegnąc obok niego zachęcał go, to gwizdaniem, to wołaniem do szybkiego biegu, zwłaszcza że czarna obszarpana chmura goniła nas, pomrukując grzmotem i rzucając błyskawice. Byliśmy już we wsi, ale do chaty moich znajomych był jeszcze kawał duży; wsie górskie bowiem ciągną się nieraz na milę wzdłuż rzeki; tak rozrzucone i tak odosobnione stoją ciemne chaty, kryjąc się pod drzewa. Już pierwsze krople deszczu duże, ciężkie padać zaczęły, gdyśmy dojeżdżali do domu, a gdy wszedłem pod dach, niebo zasunęło się chmurami i burzą grozić zaczęło.

(Dalszy ciąg nastąpi).

O Wronach i Gawronach krajowych.

(Dokończenie).

4. *Wrona* (Corvus cornix). Ptak wszędzie pospolity i każdemu znajomy, nie potrzebuje szczegółowego opisania. Lata zwykle gromadnie. Na wiosnę rozlatuje się parami i buduje gniazda na gałęziach drzew, ale rzadko widzieć można na jednem drzewie więcéj nad jedno gniazdo; jakowym obyczajem zbliża się raczéj do kruka, niż do gawrona. Wybiera też na ten cel nie tak jak gawron wysokie drzewa, ale owszem na nizkich gnieździć się lubi. Jaja wrony są większe od gołębich, nieco więcéj podłużne od jaj gawronich, jasno-zielone z szaremi i brunatnemi plamami. Bywa ich 4—6, nie wszystkie mają jednaki kształt i ubarwienie; między zielonemi bowiem można widzieć i białawe, a często jedno jaje więcéj z jednego końca niż z drugiego jest zaostrzone. Wrony w maju, zanoszą do gniazd pisklętom swoim małe kurczęta, kaczęta i gąski, karmią się też myszami, robactwem, rybkami, muszlami i ślimakami; wypijają jaja różnego ptastwa. W jesieni zbierają się w liczne stada, z krzykiem bujając w powietrzu i wzajemnie się prześladując; takie gromadne latanie ma być przepowiednią słoty; kiedy jednak latają wysoko i regularnym lotem spuszczając się, na wierzchołkach drzew siadają, wieśniacy wróżą ztąd pogodę. W miastach i wioskach przepędzają całą prawie zimę; zbierają po ulicach, (kości) na śmieciskach, w gnoju końskim dla siebie pokarmu szukają; mieszają się między drób' i świnie, z niemi jedzą i na grzbietach tych ostatnich przesiadywać lubią; około stert i na tokach ziarna zbierają, przekładają wszakże robactwo i inne zwierzęce pokarmy nad ziarno; latem zalatują do sadów i są chciwe na gruszki, prześladują słabe lub ranne ptaszki, młode zajączki; ścierw wietrzą zdaleka i pożerają go chciwie wraz z krukami, psami i świńmi. Wydając głos niemiły, kraczący, za każdem odezwaniem się, głowę i szyję zginają. Skaczą rzadko, a zawsze prawie chodzą. Zimą zbierają się w porze wieczornéj z wielu wiosek, na pewnych drzewach, i ciągną potem, niekiedy nawet bardzo późno, o milę i więcéj do miasta, gdzie na wieżach kościelnych i dachach innych wysokich budowli, noc przepędzać lubią. Wiosną skoro wody się rozmarzną, siadają gromadnie na kawałach lodu, lub nad brzegami, i tam robactwo, ślimaki i nieżywą rybę zbierają, a wówczas już rzadko do śmiecisk się zbiegają, ale raczéj po polach się rozpierzchają. W czasie oranki chodzą w ślad za pługiem, lecz nie dla zbierania ziarn, jak niektórzy mniemają, ale dla chwytania rozmaitego robactwa, owadów i ich liszek, jako to: tak zwanych pędraków, z których chrząszcze się wylęgają i t. p. Na łąkach zbierają też gąsienice trawom szkodliwe (Phalena graminis), a przez to nie mało gospodarstwu się przysługują.

5. *Kawka* (Corvus monedula). U większéj liczby kawek, czoło, wierzch głowy, grzbiet, skrzydła i ogon są pięknie czarno lśniące. Dziób, podgardle, piersi i spód ciała popielato czarne, nogi czarne; tył głowy i boki jéj ciemno-popielate. Zdarzają się jednak w takiem ubarwieniu częste odmiany; bywają bowiem kawki prawie całkiem czarne. Kawki dochodzą zwykle wielkości gołębia. W poruszeniach zwinne, niemałą przebiegłością i zręcznością są obdarzone. Latają wybornie, a lot ich do gołębiego jest podobny. Lubią przebywać gromadnie w wysokich wieżach starych budowli murowanych, na dzwonnicach, poddaszach kościelnych i t. p., a uprzykrzonym swym wrzaskiem napełniają powietrze. W prowincjach południowych, jak na Podolu zimują, w Litwie zaś zimą ich nie widać i zapewne w cieplejsze odlatują strony. Gnieżdżą się w starych murach, a niekiedy i na wysokich drzewach. Samiec do samicy bardzo jest przywiązany; jedna para długo z sobą przebywa. Jaj niosą 5 lub 6 zielonawych z szaremi plamkami. Pisklęta swe wychowują troskliwie. W czasie budowania gniazd, przygotowany na nie materjał, jako to: gałęzie, włókna i wełnę, jedne drugim za oddaleniem się właścicielek rabują, zkąd żwawe między niemi utarczki powstają. Karmią się równie ziarnem, jak robactwem i owadami. Zdaje się, że na ścierw nie tyle, jak inne wron gatunki są łakome, a jeżeli nań siadają, to raczéj dla wybierania tam zalęgłego robactwa. Zimą w gnoju końskim ziarn poszukują. Mięso młodych kawek

w niektórych okolicach przez ubogą klassę mieszkańców bywa jadane i ma mieć smak gołębiego. Na wpływ powietrza kawki niezmiernie są czułe. W roku 1848, kiedy cholera w Kamieńcu-Podolskim okropnie grasowała, kawki na wieżach zwykle przebywające, wszystkie do okolicznych lasów odleciały, a ich powrót był pożądaną wieszczbą zmniejszania się epidemji. Nad brzegami lasu wsi Dłużka o pół mili od Kamieńca, znaleziono mnóstwo nieżywych kawek, z liczby tych co w czasie najsilniejszéj cholery, z miasta odleciały.

6. *Sroka* (Corvus pica). Ptak żwawy i zwinny, do wysokiego stopnia przebiegły, posiada równie jak kruk zdolność powtarzania wyrazów i podobnąż skłonność ukrywania błyszczących przedmiotów. Opisywać ubarwienie i kształt jego byłoby rzeczą zbyteczną; jest bowiem pod tym względem bardzo charakterystyczny i każdemu dobrze znajomy. Sroki nadzwyczajnie są ostrożne, rzadko myśliwemu podejść się dają, a gdy zamach na swe bezpieczeństwo przewidują, natychmiast z krzykiem odlatują, przez co inną zwierzynę płoszą i niby ostrzegają. Dla tego sroki dla myśliwych bardzo niemiłemi są natrętami. Do ptaków szkodliwych liczyć ich nie można; chociaż bowiem w sadach najlepsze owoce niekiedy wyjadają, za to znów mnóstwo owadów i robactwa drzewom szkodliwych niszczą. Sroka lubi miejsca przez ludzi zamieszkałe, dla tego unika wielkich lasów, a raczéj w gajach i sadach, blisko miast i wiosek przebywa. Rzadko wielkiemi stadami lata, niekiedy jednak po kilkadziesiąt indiwiduów razem napotkać można. Lot ma ciężki i nierówny, dla tego za jednym razem znacznéj przestrzeni przebywać nie może. Po ziemi chodzi krokiem miernym, potrząsając długim ogonkiem, a najczęściéj skacze. Pokarm jéj bardzo rozmaity, jada bowiem owady, padlinę, jagody, owoce, stosownie do pór roku i miejscowości. Wiosną często unosi młode kurczątka, i wykrada jaja z gniazd innych ptaków. Gniazda swoje zakłada na wysokich i gęstolistnych drzewach; robi je z gałązek obmazanych lepką ziemią, wewnątrz wyściela trawą i włosami, potem zaś nakrywa z wierzchu pręcikami, i tylko na boku otwór zostawia. Jaj znosi 7—9, zielonawych szaro nakrapianych; siedzi na nich tylko samica przez niedziel trzy. U nas w marcu już zaczynają sroki wić gniazda, a w kwietniu wylęgają się pisklęta.

Cygański w myślistwie ptaszem [1]) radzi polować na kruki, wrony, gawrony i kawki, za pomocą sieci, zastawiając ją w czasie śnieżnéj zimy lub bardzo wcześnie na wiosnę, nie daleko wsi i miasteczek, i dając za przynętę puhacza lub inną sowę, do któréj to ptastwo zlatywyć się zwykło.

HEBEL z REGULATOREM.

Stolarze i w ogóle rzemieślnicy mający do czynienia z obrabianiem drzewa, wiedzą, ile zachodu, straty czasu a często i niedokładności w robocie, pociąga za sobą trudność należytego przyrządzenia hebla. Czynność ta, wykonywana zwykle przez uderzanie młotkiem bądź to w żelazo bądź też w osadę hebla, pociąga za sobą niejednokrotnie uszkodzenie samego narzędzia przez odłupanie osady, klina lub rączki, którą zwykle opatrzone są heble większych rozmiarów. Rozliczne te niedogodności mimowoli nasuwają pytanie, jakim sposobem, przy tylu ulepszeniach, zaprowadzonych w machinach i narzędziach w przeciągu ostatnich kilkunastu lat, budowa hebla, pomimo iż zostawia wiele do życzenia, utrzymała się w pierwiastkowéj swéj prostocie. Próbowano wprawdzie niejednokrotnie wprowadzić w niéj pewne zmiany, lecz te nie zdołały wejść w powszechne użycie, już to z powodu zbytecznéj komplikacji, już też z powodu zbytecznego podniesienia ceny przyrządu, gdy tymczasem hebel, stanowiąc główne niemal narzędzie stolarza, łączyć w sobie powinien prostotę budowy, dozwalającą używać go ludziom nie obznajmionym z mechaniką, i cenę dostępną dla mniéj zamożnych rzemieślników. Dwom tym warunkom odpowiada *hebel z regulatorem* pomysłu p. Vendrand, używany już w wielu warsztatach zagranicznych, i którego rysunek wraz z opisem zamieszczamy poniżéj, w nadziei, że i tutejsi rzemieślnicy, przekonawszy się o jego praktyczności, zechcą go i w swoich warsztatach wprowadzić w użycie.

Fig. 1 (str. 24) łatwo pozwala spostrzedz, że mechanizm w mowie będący nie przeszkadza w niczem użyciu narzędzia, figura zaś 2-a wskazuje, w jaki sposób nowy ten pomysł zastosowanym być może nawet do hebli zwykłéj, dawnéj konstrukcji.

Regulator składa się ze szruby *A*., obracającéj się w pochyłéj osadzie żelaznéj, przytwierdzonéj do drzewa holcszrubami; nóż C złączony jest z regulatorem w punkcie D, tak, że dla wysunięcia go na dół lub cofnięcia ku górze dosyć jest pokręcić szrubę A, i to zastępuje całkowicie uderzenia młotka w heblach zwyczajnych. Po nadaniu nożowi żądanego położenia, utwierdza się go w niém za pomocą podwójnego drążka zgiętego *B*, obracającego się około osi w środku swéj długości; drążek ten jest poniżéj osi połączony mutrą z nożem, w górnym zaś końcu opatrzony szrubą opierającą się o osadę hebla. Przez pokręcenie téj szruby, górny koniec drążka podnosi się, dolny zaś tem samem posuwa się na prawo i przyciska silnie nóż do osady hebla, tak jak to w heblach zwyczajnych odbywa się przez wbijanie klinów. Nowszy jednak sposób i w tym jeszcze względzie ma wyższość nad dawnym, że przy wbijaniu klina często i nóż zostaje wysunięty naprzód, i robotę należy rozpoczynać na nowo.

Ostatecznie więc, aby ustawić hebel z regulatorem, dosyć jest: odkręcić o ćwierć obrotu szrubę B, wysunąć lub cofnąć nóż o żądaną ilość przez pokręcenie szrubki A, i przykręcić napowrót szrubkę B. Wszystko to uskutecznić można w pół minuty.

Dla wyjęcia noża, celem naostrzenia go, należy odkręcić szrubę B, o dwa obroty, oddzielić nóż od regulatora, zdejmując go z czopu D, a wówczas łatwo jest wysunąć go ukośnie, gdyż nie jest on stale złączony z drążkiem przyciskającym, lecz tylko opiera się na dwóch jego ramionach mutrą skrzydełkową, widzialną na figurze 2-éj.

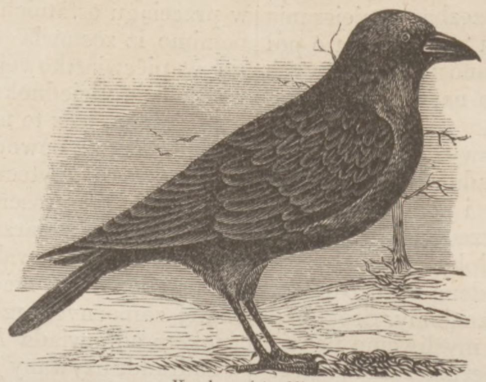
ROZMAITOŚCI.

— Jeden z korespondentów Gazety Rolniczéj tak pisze z okolic górniczych (pow. Opoczyński) w kraju naszym:

---

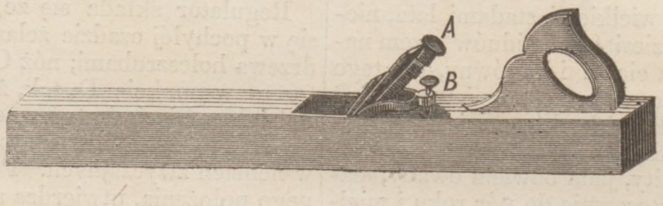
[1]) Myślistwo ptasze, dzieło z XVI-go wieku przedrukowane w Warszawie 1842 r., z przypisami prof. Antoniego Wagi.

„Wielkie piece stoją pozamykane; gdzieniegdzie jeszcze który słabą piersią dysze, ale i to oddech suchotnika." Smutna to rzecz takie doniesienie, bo zwiastuje ono nędzę licznéj a uczciwéj ludności górniczéj, która w pracy swego czoła zarabiała na życie dla siebie i rodzin swoich. W roku zeszłym wielu już górników i hutników w tamtejszych stronach, nie miało dostatecznego zarobku ze swego fachu; nie opuścili przecież rąk gnuśnie, ani też nie zaczęli pić na humor, ale najmowali się do prac rolniczych, chociaż do nich nie są zupełnie usposobieni. Bóg więc poszczęści ich rękom! W Anglji, chociaż to kraj taki bogaty, robotnicy nie jednokrotnie doświadczają braku roboty, i to całemi tysiącami, jak to miało obecnie miejsce, z powodu braku bawełny. Nędza nawet w samym Londynie, jak donoszą dzienniki, z każdym dniem rośnie. Nie ma dnia, żeby urzędnik wołany do sprawdzania zejścia, nie napisał po wymienieniu nazwiska nieboszczyka, owych słów fatalnych: „umarł z głodu!" Dziękujmyż więc Najwyższemu, iż nas od tego broni, i że ziemia, którą uprawiamy, przy lekkiéj nawet pracy, daje tyle, iż nikt w okropnych męczarniach z głodu nie umiera.



Kawka.—(str. 22).
(Rysował Jastrzębowski—wyciął na drzewie Szymborski)

A ziemię, którą uprawiamy, potrzeba tylko orać, pracowicie i umiejętnie koło niéj chodzić. Lecz téj umiejętności właśnie nam braknie, od jakiéj wady i drobni rolnicy, dziś właściciele na swych cząstkach, wolni nie są. Bo potrzeba wiedzieć, iż teraz bez nauki trudno być gospodarzem dobrym, i to bez nauki, któréj nabyć można w szkołach, gdzie ludzie umiejętni i praktykanci wskazują użycie ulepszonych narzędzi i statków gospodarskich, sposób uprawy pożytecznych roślin i nareszcie hodowania zwierząt, aby były zdrowe, i stanowiły pożytek właścicielowi. Nauki takiéj nabywa się w szkołach, założonych umyślnie, dla kształcenia małych rolników, tudzież oficjalistów dworskich, jak ekonomów, włódarzy i t. d. Szkół takich w Królestwie istnieje pięć, a między niemi w Końskowoli pod Nową Aleksandrją (Puławami), przeniesiona z Burakowa pod Warszawą. Lecz szkoła ta, czy to skutkiem tego, że wielu o niéj nie wie, czy to dla innych jakich przyczyn, nie wielu liczy uczniów, tak że pięćdziesiąt jeszcze miejsc jest niezajętych. Toż samo i w szkole rolniczéj w Weronowie pod Radomiem. Między uczniami w jednéj i drugiéj znajduje się kilku synów zamożnych włościan. Przykład godny naśladowania, bo nawet i koszta do szkoły takiéj niewielkie, gdyż wynoszą 333 złp. na cały rok. A za to dają i życie i okrycie, a co najważniejsze i naukę, która wykierować może młodego parobka prawdziwie na człowieka.

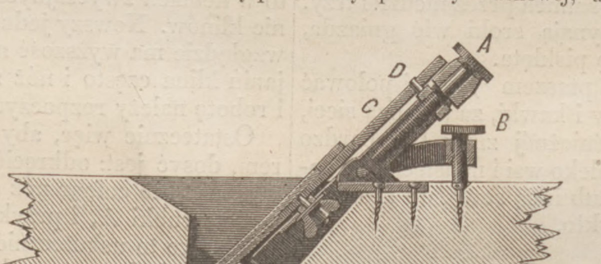


H e b e l. — (str. 23).

— Od niejakiego czasu Warszawa nie może się uskarżać na brak muzyki, i to poważnéj, mającéj daleko wyższe szlachetniejsze cele nad prostą zabawę. Objaw to pocieszający, dla tego najbardziéj, że muzyka ta licznych i chętnych znajduje słuchaczów. Powiedźcie sami, czy zasłyszana gdzieś przypadkiem, o wieczornéj dajmy porze, choćby skromna dumka, albo nawet smętny odgłos fujarki po rosie, nie obudza w duszy waszéj myśli, przed któremi niknie smutna rzeczywistość, i roztaczają się jakieś dziwnie piękne obrazy? Chwile te drogie są w życiu naszem, bo doznajemy wtenczas roskoszy ducha, a ten im więcéj, im częściéj będzie sycony, tem stanie się silniejszym, bliższym swego nieśmiertelnego początku.

Na te myśli naprowadził nas, zapowiedziany na nadchodzącą niedzielę koncert *Stanisława Moniuszki*. Rzadko który, zwłaszcza z pomiędzy was Warszawianie, nie słyszał jego pięknéj Halki, Hrabiny, Verbum nobile i innych utworów, które także często bardzo, w postaci piosnek, rozlegają się przy dźwięku fortepianu, albo jako poświęcone czci Stwórcy, rozbrzmiewają poważnie pod sklepieniami Świątyń Pańskich.

Na wspomnionym koncercie, oprócz innych pięknych rzeczy, wykonana będzie nie znana u nas dotąd muzyka do części poematu pierwszego wieszcza naszego Mickiewicza. Poemat nosi tytuł *Dziady*, a część przerobiona na muzykę *Widma*. Zespolenie dwóch utworów ducha czczonego przez nas wieszcza i ukochanego artysty, wiele wróży pociechy duchowéj, a to znowu było powodem dla nas, waszych szczerych przyjaciół do nastręczenia wam możności wytchnienia po pracy z godnością i pożytkiem dla siebie.



Hebel z regulatorem.—(str. 23).—(wycięto w drzeworytni Stifiego i Regulskiego).

Myśli i Zdania.

— Wiek dojrzały chce koniecznie, ażeby podzielano jego zabawy, pochodzi to ztąd, że te zabawy są może nudne, lecz bez zaprzeczenia korzystne.

— Monteskiusz, uczony francuzki, powiada, że *nauka* była dla niego najlepszem lekarstwem od niesmaku życia, i że nie doznał nigdy takiego smutku, któregoby nie rozproszyła jedna godzina czytania.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 6 (18) Stycznia 1865 r.